Moja Akademia
cz. 16

Bogdan Łazarkiewicz

Profesor Wiktor Bross – legenda chirurgii polskiej

47. rocznica śmierci profesora Tadeusza Marciniaka

Nazwisko prof. Wiktora Brossa zapisało się złotymi zgłoskami w chirurgii polskiej. W prawie 50-letniej mojej działalności chirurgicznej bardzo wysoko sobie cenię 12-letni okres pracy w klinice pod bezpośrednim kierownictwem Profesora. Miałem zaszczyt obserwować, a nierzadko uczestniczyć w pionierskich zabiegach kardiochirurgicznych i dokonaniach naukowych, które zostały utrwalone w publikacjach.

Profesor W. Bross, z urodzenia poznaniak, do Wrocławia przybył jako lwowiak, gdyż tam zdobywał wykształcenie lekarskie i przez 10 lat pracował w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Jana Kazimierza. Jego mistrzem i nauczycielem chirurgii był prof. Tadeusz Ostrowski, zamordowany przez hitlerowców w lipcu 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich.

Urodził się w zacnej rodzinie nauczycielskiej, skąd wyniósł głęboką religijność, patriotyzm i pracowitość. Rodzeństwo to dwie siostry, które zmarły w dzieciństwie na błonicę i czterech braci, których los nie oszczędzał: Kazimierz – lekarz, uczestnik Powstania Wielkopolskiego, kapitan rezerwy, zginął w kampanii wrześniowej 1939 roku; Stanisław – duchowny, doktor teologii, infułat, aresztowany przez gestapo, przeżył obóz koncentracyjny w Dachau; Stefan – lekarz weterynarii, Syberia, dwa lata obozu koncentracyjnego w Stutthofie, zmarł po wyjściu z obozu; Marian – prawnik, oficer, zamordowany w Katyniu.

Profesor W. Bross co roku jeździł w okresie Wszystkich Świętych na



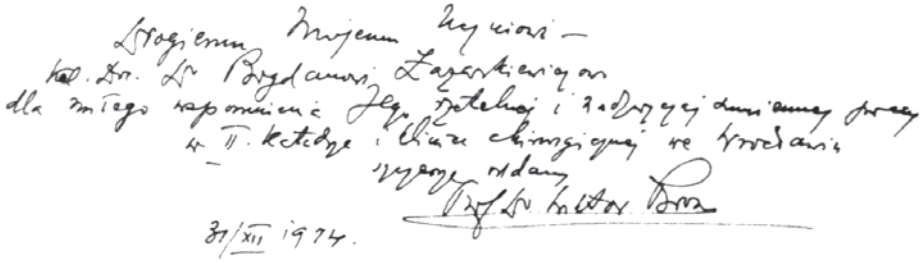

Mój nauczyciel prof. Wiktor Bross (1974 r.)

groby swoich rodziców do Witkowa koło Gniezna, a w podróży tej zawsze mu towarzyszył ktoś z nas. Opiekował się półsierotami, bratankiem Tadeuszem i bratanicą Teresą, traktując ich jak własne dzieci. Ciężko chorego brata, księdza infułata, przyjął do siebie do domu we Wrocławiu, opiekując się i lecząc do ostatnich dni jego życia. Profesor W. Bross miał dom w Katowicach, gdzie mieszkała żona, Marta z synem Krzysztofem, a on spędzał tam tylko niedziele i święta. Przez cały tydzień mieszkał we Wrocławiu przy ulicy Smoluchowskiego i całkowicie poświęcał się chirurgii.

A tak wyglądał jeden dzień w klinice. Profesor Wiktor Bross przychodził do kliniki około siódmej. Szedł przodem, a za nim pan Józef. Laborant Nuckowski, wierny sługa Profesora jeszcze ze Lwowa, był równocześnie „laborantem od much" na sali operacyjnej. Chodził z packą i zabijał muchy, jeśli tylko jakaś znalazła się w sali operacyjnej. Złośliwi podejrzewali, że było to „oko i ucho" Profesora.

Profesor wchodził do kliniki i na portierni witał go pan Duk, laborant również ze Lwowa, który nie miał zewnętrznego nosa (zniszczony przez gruźlicę). Profesor już na schodach zaczynał przeklinać, zanim doszedł do sekretariatu na górze, zdążył powtórzyć kilkakrotnie „będzie śmierć, będzie śmierć, Duk mnie przywitał". Profesor W. Bross, człowiek bardzo religijny i praktykujący katolik, był troszkę zabobonny. Uważał, że spotkanie Duka od samego rana przynosi mu nieszczęście.

Profesor przychodził do sekretariatu, a tam już kłębił się tłum różnych ludzi: pacjentów, przyjaciół, lekarzy internistów i kardiologów, którzy czekali, aby porozmawiać z Profesorem, by skonsultować przypadek, aby przekazać chorego na kardiochirurgię. Profesor W. Bross osobiście kwalifikował każdy przypadek do operacji na sercu.

Około dziewiątej Profesor schodził na salę operacyjną, gdzie przebywał mniej więcej do godz. 15. Zabiegi odbywały się na trzech lub czterech stołach. Profesor przeważnie wykonywał



Laborant Józef Nuckowski przy sterylizatorze (1952 r.)

od początku do końca jakiś ważniejszy zabieg, do innych włączał się, co wyglądało różnie. Często z awanturą, rzadko z pochwałą, ale zawsze z jakąś wskazówką i nauką dla operującego.

Około godziny wpół do dwunastej zjawiała się słynna sekretarka, pani Genia Hutynkiewicz, wierna, „zakochana" i oddana Profesorowi bez reszty. Podawała filiżankę kawy, której ziarenka osobiście prażyła, aby kawa była lepsza. Przynosiła też na talerzyku cztery maleńkie kwadraciki czekolady po to, aby Profesor między zabiegami wypił kawę i zjadł najczęściej tylko jedną kosteczkę czekolady, bo zawsze znaleźli się adiunkci, którzy wcześniej porwali kawałek czekolady albo nadpili tej dobrej kawy.

Gdzieś po trzeciej Profesor wychodził z kliniki, aby zjeść skromny posiłek przygotowany przez pana Józefa. Po godzinie 17, po półgodzinnej obowiązkowej drzemce, Profesor wracał do kliniki, a tam znów czekali najprzeróżniejsi goście, pracownicy, adiunkci i docenci. Docent nie miał prawa wyjść z kliniki, dopóki był tam Profesor – to było oczywiste. Pod sekretariatem czekali również asystenci, którzy mieli jakieś sprawy do załatwienia. Doktorat, pracę do druku – to wszystko można było załatwić po południu.

Często około siódmej wieczorem, a nieraz później – nigdy nie wiadomo kiedy – Profesor wychodził na korytarz i do tej „świty", która strzegła sekretariatu rzucał hasło „no, to idziemy", co oznaczało, że będzie ogólna wizyta. Oczywiście szli lekarze dyżurni i docenci, siostra przełożona, a pani Genia, sekretarka, krzyczała do telefonu „zaczęła się wizyta". I czym kto mógł, pędził do kliniki. Po pierwszej sali było już tam ponad 30 uczestników. Po drodze była wizyta na sali operacyjnej, bo wtedy nie było jeszcze intensywnego nadzoru pooperacyjnego i chorzy po większych zabiegach na sercu pozostawali na sali operacyjnej dzień lub dwa, a nieraz i dłużej.

Po wizycie wszyscy szli do biblioteki na posiedzenie. Omawiano przypadki, ustalano zabiegi na następny dzień. Potem mówił Profesor albo koledzy, którzy mieli za zadanie przetłumaczyć jakiś artykuł z zagranicznego czasopisma – profesor zawsze miał świeże numery. To wszystko kończyło się około dwudziestej drugiej. Wtedy czasami profesor uśmiechał się i pytał „kto ma dobrego papierosa?".

Profesor nie palił nałogowo, ale po całym dniu lubił wieczorem zapalić „cudzesa". Bywało i tak, że profesor – chcę podkreślić, jakiej energii był to człowiek – mówił „piwko by się wypiło". I wtedy to piwko było u kogoś w domu albo w „Monopolu", a profesor miał jeszcze siłę „monologiem" zabawiać zespół, który z nim poszedł. W ten sposób dochodziła dwunasta w nocy. Asystenci padali, a profesor jak skowronek wracał do domu, aby rano jak zwykle, około siódmej z Nuckowskim wejść do kliniki. I dobry to był dla wszystkich dzień, jeśli na portierni nie witał go pan Duk.



Imieniny profesora Tadeusza Marciniaka (1959 r.)

W sierpniu br. mija 47. rocznica śmierci mojego pierwszego nauczyciela, pod którego kierownictwem pracowałem przez 9 lat w Zakładzie Anatomii Opisowej. Profesor Tadeusz Marciniak zmarł 26 sierpnia 1966 roku, krótko po operacji w Instytucie Onkologii w Warszawie. Nagła śmierć profesora poruszyła pracowników naszej Uczelni, dyskutowano, dlaczego nie poddał się zabiegowi we Wrocławiu, przecież z profesorem Wiktorem Brossem znali się jeszcze ze Lwowa? Odpowiedź na to pytanie językiem dzisiejszych polityków brzmiałaby: „była to szorstka przyjaźń". My asystenci, kiedy jeszcze pracowałem w Zakładzie Anatomii Opisowej, z profesorem T. Marciniakiem spotykaliśmy się raz w roku przy nieprosektoryjnym stole, w dniu jego imienin – Tadeusza, 28 października przy dużej flaszce jego własnej roboty nalewki orzechowej.



Spotkanie z okazji imienin prof. T. Marciniaka. Od prawej asystenci: Z. Zagrobelny, E. Krawczyk, Gregulec, (...), doc. C. Niżankowski, M. Ziółkowski, B. Łazarkiewicz, W. Kowalski, R. Łada, T. Szreter, J. Malucin, T. Orzechowski (stoi). W środku sekretarka H. Marcinkowska (1959 r.)